



14,99 ZŁ W TYM 8% VAT

**Marieta
ŻUKOWSKA**
*Chaos piękniejszy
jest niż perfekcja*

**Jacek
PONIEDZIAŁEK**
*Boję się być kimś
nieważnym*

POLKA
RATUJE KATEDRĘ
NOTRE DAME

PSYCHOLOGIA
CIAŁOCZUŁOŚĆ
jak się jej nauczyć

*Gdy efektem
terapii
jest rozwód*

**ROZMOWY
FILOZOFICZNE**
CZY STAĆ NAS NA
ROMANTYCZNOŚĆ

**ALICJA
MAJEWSKA**

**NADZIEJA W SERCU
CIĄGLE GRA**

INDEKS 379255



NUMER
W SPRZEDAŻY
DO 4.03.2025

WWW.TWOJSTYL.PL

A black and white photograph of a woman with curly hair, smiling and looking upwards. She is wearing a light-colored, long-sleeved shirt with a large collar and dark trousers. She is standing in a room with a large, round, dark lamp on the wall behind her and a sofa to the right. The title 'ALICJA W KRAJINIE FANÓW' is overlaid in large, white, serif capital letters.

ALICJA W KRAJINIE FANÓW

rozmawiała: JOANNA NOJSZEWSKA
zdjęcia: ALEKSANDRA MODRZEWSKA

A photograph of Alicja Majewska, a woman with curly blonde hair, wearing a bright red coat. She is standing on a balcony with a black metal railing, looking off to the side with a slight smile. Her hand is resting on her chin. The background shows a blurred view of a city street with buildings.

Ma tylko pozytywny „elektorat”. Starszych można zrozumieć – wspólnota pokoleniowych doświadczeń, nostalgia. Ale wśród fanów Alicji Majewskiej są milenialsi i młodszy. Tworzą nieformalną grupę nazwaną przez Artura Andrusa „jaśnie faństwo”. Jak się w tej aureoli odnajduje bohaterka? I czy największym fanem nie jest pewien Włodzimierz? Wszak to on trwa przy niej pół wieku. Uwaga, w tym tekście może kryć się recepta na długotrwały związek.

W

iosna będzie jej. Telewizyjna gala w Teatrze Wielkim i 20 koncertów w całej Polsce, na które już od dawna nie ma biletów. Na scenie: Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz. Okazja? 50-lecie ich scenicznego pożycia. Co zaśpiewać, jak streścić tyle dekad? Przypomnijmy: dziewczyna z podsandomierskich Olbierzowic, córka nauczycieli-społeczników już jako kilkulatka zachwyca talentem muzycznym – „po tatusiu”. Śpiewanie bierze górę nad innymi zajęciami w czasach studenckich (pedagogika w Warszawie). Alicja występuje w zespole Partita, potem solo. Na początku lat 70. poznaje kompozytora Włodzimierza Korcza i zauważa prawidłowość: gdy jedzie z jego piosenką na festiwal, wygrywa. A jak z inną, nie. Wniosek jest prosty – trzymać się Korcza. I dobrych tekściarzy: Czapińskiej, Kofty, a zwłaszcza Młynarskiego. Twórcemu duetowi tych panów Majewska zawdzięcza największe przeboje, z *Jeszcze się tam żagiel bieli* na czele. Piosenka napisana w 1980 r. na festiwal Ludzie i Morze w NRD to kamień milowy.



Drugi ważny moment? Rok 2015, kiedy Alicja i Włodzimierz świętują w Opolu 40-lecie. Ludzie zachwycają się: ależ ci artyści w formie, ależ piosenki melodyjne! Duch czasów sprzyja, po latach odrzucania tego, co powstało przed rokiem '89, wracamy do tamtej muzyki. Doceniamy jakość, która kiedyś wydawała się oczywista, a na tle współczesnej sieczki jaśnieje jak diament. Zaczyna się świetna passa duetu Majewska & Korcz – płyty z nowymi piosenkami, kalendarz koncertowy zapchany do ostatniej linijeczki. I tak jest do dziś. Lampa nad stołem w kuchni jej domu na Zaciszu wyznacza przytulny krąg do rozmowy, Alicja serwuje herbatę z aromatem pomarańczy i pokazuje mi kartkę z piosenkami na jubileuszowy koncert. To nie jest wersja ostateczna, dyskusje w Włodkiem trwają. „Wszystkie piosenki kocham, ale nie mogę wszystkich umieścić. *Żagiel* oczywiście, ale przecież i *Być kobietą* czy *Odkryjemy miłość nieznaną*. I coś z tych nowych – z XXI wieku, żeby nie było, że tylko dawne hity. Zbyszek Wodecki mówił: nowego *Żagla* już nie wylansujesz. Może i się nie wylansowało, ale parę nowych piosenek zostało ze mną” – mówi artystka. W koncercie będzie nawet – pozornie niepasująca do niej – *Szalona krewetka* z najnowszego albumu z Andrusiem. Tego chcą fani. A oni są ważni. Alicja przynosi fotoksiążki zrobione przez wielbicieli. Wspólne ujęcia z koncertów, zakulisowe śmiechy-chichy, cytaty z wywiadów (z przyjemnością stwierdzam: również z TS), zabawne komentarze. Widać, że to całe – jak się teraz modnie mówi – uniwersum. Społeczność. Alicji kraina fanów.

Twój STYL: Na niedawnym koncercie miałam okazję poznać kilkoro. Przemili ludzie. Jak pani się czuje z takim zastępem wielbicieli?

Alicja Majewska: Mam dystans do tego zjawiska i oni – mam nadzieję – też. Wszyscy się tym bawimy. Włodka tytułują „maestro”, co go – jak myślę – trochę peszy, a trochę cieszy. Żartobliwie konkurują o moje względy. Ale też czują się odpowiedzialni. Często na koncert przyjeżdżają przede mną, pokazują, jak dotrzeć do garderoby. Pomagają w sprzedaży płyt, robieniu zdjęć. Są ważni, nie tylko w trasie. Ryszard, niezwykle szlachetny człowiek, jest specjalistą od opery i teatru, wyciąga mnie na premiery. Ostatnio, kiedy się źle czułam, przywiózł domowy rosół. Ależ mi się przydał! Bo w domu miałam tylko mrożone prawdziwki, zebrane specjalnie dla mnie przez pana Grze-

sia z agencji koncertowej. Gospodynią jestem średnią, ściboliłam je na masle, potem ze śmietaną. A tu Ryszard z rosółem. I jeszcze udko było, pyszne! Najpierw nie chciałam, żeby przyjeżdżał, bo może kłopot. A potem byłam zadowolona. Przepraszam, oddałam się tematowi, jestem dygresistką...

To nie pierwsza nasza rozmowa dla TS – czekam cierpliwie na powroty do wątków głównych. Wiem, że będą.

W kwestii fanów – mam wrażenie, że w każdym pokoleniu są osoby czule na ten rodzaj melodyki i literackiego języka. Wiem, że cenią poziom tekstów i muzyki. Gdy mówię na koncertach, że – mimo obowiązujących dziś trendów – nie napisałam sama ani jednej piosenki, dostaję brawa. Bo śpiewam utwory stworzone przez znakomitych tekściarzy i pewnego niezłego kompozytora. Ostatnio zapytałam jedną



TEKSTY MOICH PIOSENEK SĄ
POGODNE. DAJĄ NADZIEJĘ.
PEWNIÉ DLATEGO LUDZIE SIĘ
DO MNIE UŚMIECHAJĄ.



z bardziej wytrwałych fanek: Paulina, byłaś na koncertach już ze sto razy? A ona: Setny raz był dawno w Poznaniu, dziś jest sto trzynasty! Anka świetnie fotografuje, Dominik i Wiktor to ojciec z synem, jest też pewna posłanka z mężem. Edyta – moja osobista służba zdrowia. Wiktoria ma świetne oko – mój TikTok to jej robota. Magda – zawsze pierwsza. Michał z Łukaszem... O, a tu Damian! (oglądamy dalej albumy – red.), fryzjer z Ciechanowa. Marzył, że jak wreszcie założy salon, to nas zaprosi na otwarcie. Akurat wracaliśmy z Sopotu, zajechaliśmy. Cały lokal w naszych zdjęciach, tort, znajomi, sąsiedzi. Damian szczęśliwy. Fajni ludzie ci nasi fani!

Kto to wszystko zaczął?

Agatka z Częstochowy. 45 lat temu znalazła jakoś sposób, by do mnie dotrzeć, i dziś jest na prawach członka rodziny, wspólnie spędzamy święta. Była bizneswoman, która postawiła na macierzyństwo. Ma trójkę dzieci, kilka lat temu niestety zmarł jej mąż. O jej synku muszę opowiedzieć. Kiedy był mały, na koncertach patrzył na Włodka Korcza i „grał” na kolanach jak na klawiaturze. Rodzice zastanawiali się,

Gdybym panią obudziła w nocy i zapytała: praca z Korczem to szczęście czy znój, pierwsza odpowiedź byłaby...?

„Praca z Korczem to oczywistość!”. Tak się od niego uzależniłam, że inna możliwość nie przeszła mi przez głowę. Trudno uwierzyć, że to już tyle czasu. Jak pisała Magda Czapińska w piosence dla mnie – zresztą był to szlagwort podsłuchany w aptece – „życie jest piękne, lecz krótkie jak przeciąg”... Przeszliśmy razem 50 lat. I to nawet dziarskim krokiem, nie kuśtykając. Choć może parę potknięć było... No dobrze: to cud, żeśmy się nie pozabijali.

Bo różnica charakterów?

Bo Włodek wie coś od razu i na pewno, a ja ewentualnie i po chwili. I on ma prawo być zniecierpliwiony moją niepewnością, zwłaszcza kiedy sprawa dotyczy obojga. Ostatnio spieramy się o listę piosenek na jubileusz. Rzucam tytuł, co do którego mam wątpliwości. On: „Przecież już to klepnęłaś”. „Nie, Włodek, nie klepnęłam, chcę przegadać”. On sarka: „Ja mam tak z tobą całe życie”. Na co ja: „I tak już będziesz miał!”. Bo ja zawsze będę roztrząsać, wątpić.

GDY OGLĄDAM SVOJE DAWNE ZDJĘCIA, WIDZĘ ŁADNĄ DZIEWCZYNĘ. A WTEDY TAK SIĘ NIE POSTRZEGAŁAM.

czy kupić instrument. Poprosili Włodka o przesłuchanie. On uznał, że dziecko ma dobry słuch i poczucie rytmu, ale ewentualne kształcenie muzyczne radził traktować w kategoriach ogólnorozwojowych, bo droga długa, wyboista, a efektów nie da się przewidzieć. Po latach okazało się, że Piotruś trafił na znakomitą nauczycielkę, pod skrzydłami której zaczął wygrywać konkursy. Niedawno miałam dla Fundacji TVN w telewizji zaśpiewać *Życ się chce*, Włodek akurat zachorował. Mówię: może Piotruś? I zagrał z kwartetem na żywo! W ubiegłym roku raz jeszcze przyszło mu zastąpić Włodka w moim minirecitalu i zebrał nie mniejsze brawa od moich.

WŁODZIMIERZ COACH

Majewska dobrze pamięta pierwsze spotkanie z Korczem w 1971 roku. Dlaczego? Bo wtedy urodził mu się syn – muzyk sumitował się, że spóźnił się na spotkanie. „Łatwo policzyć – tyle lat się znamy, ile ma Kamil” – mówi artystka. Wkrótce związali się zawodowo na stałe. Proponowano jej nawet wydanie płyty w dwa miesiące (za komuny kosmos, album powstawał raczej w dwa lata). Warunek jeden – bez Korcza. Nie zgodziła się i do dziś nie żałuje. On mawia: „Alka zawsze śpiewa, jakby robiła to pierwszy raz i chciała zwyciężyć. Zagrałem z nią tysiące koncertów i nigdy się nie nudziłem”. Skazani na siebie – żyją długo i szczęśliwie? Tak, ale to nie jest obrazek z lukru. W środowisku Korcz słynie z dyscypliny i surowości. Alicja zaś ma – jak mówi – „nademocjonalność i nadruchliwość”. Czasem trudno tym wszystkim zarządzać.

Jest perfekcyjny do szlag-trafienia, jak mówił o nim Zbigniew Wodecki. Ale nazywa siebie „komfortem Alicji Majewskiej”.

Gdyby tu był, dodałby: bo nikt inny z Alką nie wytrzyma. Wiem, że miałam szczęście, trafiając na niego. Sama nie potrafiłam się przebijać. To inni dostrzegali we mnie potencjał. Mąż (nieżyjący już dziennikarz Janusz Budzyński, związany z Alicją w latach 1972–1984 – red.) twierdził, że gdyby to od niego zależało, w radio nadawaliby tylko moje piosenki. To on wypatrzył Włodka. Dzięki temu miałam szansę nie stać w miejscu, tylko drobnymi kroczkami iść do przodu. Włodek pisał oratoria, pastorałki – było nad czym pracować; nie, że w kółko śpiewałam *Żagiel*. Odkąd pamiętam, co jakiś czas słyszę, że znowu się rozwinęłam. Zastanawiam się: hm, od jakiego dna musiałam zaczynać.

Czy przez te pół wieku szliście na kompromisy?

Ile się nawalczyłam z Włodkiem, żeby na scenie nie nosił piterka. On uważa, że ważne rzeczy trzeba trzymać przy sobie. I przez piterek odstaje mu marynarka. Ludzie, kto przy zdrowych zmysłach tak sobie poszerza biodra!? A jak długo nosił te brezniewowskie brwi! Kiedyś ktoś mu obciął i wyrosły bujniejsze, więc nie chciał ruszać. A ja mówię: „Włodek, ile nam jeszcze zostało – pięć, dziesięć lat? Obcinaj, co ci zależy”. Ale on też nie jest dłużny. Krytykował, że założyła pani „okropne arrasy wawelskie” i że w cekinach wygląda „jak żona dyrektora cyrku”. Kiedy poprawia pani włosy, on mówi: „cokolwiek byś nie zrobiła, masz ten sam bałagan”.

To przekomarzanki, ale opowiem o czymś innym. Na początku współpracy przyniósł kompozycję, która mi się nie spodobała. Stwierdziłam: „nie, to jakaś rumuńska piosenka”. Myślałam, że powiedzieć coś takiego twórcy, który jest świetny i o tym wie, to sprawa naturalna, nie będzie mu przykro. Myliłam się. Wkurzyło go to. Wtedy dotarło do mnie, że artysta wyrwa dzieło z siebie i kiedy pokazuje światu, uważa, że ma kształt ostateczny i jest dobre. Od tamtej pory staram się nie robić tego błędu. Zrozumiałam, że to niestosowne. Chociaż Włodek twierdzi, że wielokrotnie, kiedy proponował mi piosenki, nie doceniałam ich. Przyznaję: parę razy faktycznie się nie poznałam. A przecież Włodek to ewenement: że jemu się nie skończyły pomysły w głowie. Koledzy z tego pokolenia albo już nie piszą, albo umarli... A że ma specyficzny styl pracy? Tak. Ja bym chciała na próbach usiąść, pogadać, on traktuje je strasznie serio. Najbardziej wkurza się, gdy mówię: nie zaśpiewam, za trudne. Wtedy zaczyna słynny monolog.

Motywacyjny?

Nie, wyrzuty. Że on się dla mnie twórczo napina, a mnie się nie chce. A powinien wiedzieć: po tylu latach mówię tak nie

ci – zaczęliśmy nawet jakieś próby bajek śpiewanych. Zbyszek Wodecki poszedł wtedy w kabarety. A ja miałam sesję rockową. Kolega gitarzysta powiedział: ty możesz zaśpiewać wszystko, rocka też. I nastąpiła zmiana image'u. Proszę wyobrazić mnie sobie w różowej pilotce. Śpiewałam: „powiedz, o co chodzi, co ci to szkodzi”. Grzęzła mi w gardle ta literatura, ale wmawiałam sobie, że nie jest źle. Z paniki próbowałam innej muzyki, ale nie miało to nic wspólnego z tym, co mi w duszy grało. Do dziś z Włodkiem się spieramy, wyrzucam mu, że nie powiedział wtedy: „Alka, nie rób tego”. On twierdzi, że wiele razy mówił, ale we mnie była „przemożna chęć”. No, nie wiem.

I jak po tej różowej pilotce wróciła pani do muzyki środka?

Pojawiła się ogromnie utalentowana Edyta Geppert, którą Włodek przygotował do festiwalu. Zaśpiewała *Jaka róża, taki cierni*, później *Kocham cię, życie*. Piękne klasyczne piosenki. To mi uprzytomniło, że można jednak iść tą drogą. Cieszę się, że potem z niej nie zbaczalam. A dziś doświadczam największego uznania. Pochwalę się, choć to może niezręcznie – ludzie wyrażają szacunek dla naszej konsekwencji, rzetelności,

ZBOCZYŁAM Z DROGI, SPRÓBOWAŁAM INNEJ MUZYKI. TO BYŁ AKT PANIKI. NA SZCZĘŚCIE JEDNORAZOWY.

dlatego, że to „rumuńska piosenka”, tylko mam obawę się z nią zderzyć. Potem i tak wychodzi na jego. Siła ćwiczeń: śpiewam raz, drugi, piąty i okazuje się, że jednak dźwignę. Po czym on zawsze wypomina: a mówiłaś, że nie dasz rady. Nasz rytuał. Ale wie pani, ten związek tak długo trwa, bo spieramy się w drobiazgach, lecz do spraw zasadniczych, światopoglądowych mamy podobny stosunek. A w kwestii pieniędzy zawsze mówimy: „nie, ty weź więcej, tobie się bardziej należy”. Ważne, bo z tego powodu ludzie się często zawodowo rozstają. Reasumując, jestem przez Włodka zaopiekowana artystycznie. Mimo że z zewnątrz bywam postrzegana jako męczennica. I czasem się nią czuję.

Czy istnieje dla pani życie pozakorcowe?

Istnieje. Ale czasem wynikają z tego kolizje. Włodek dzwoni, że musimy zrobić próbę, a ja na to: „nie mogę, idę do kina”. On: „no tak, ty się bawisz, a ja pracuję”. Ale nie daję się: idę do kina, a próba potem. Bo czuję, że moje życie nie może sprowadzać się tylko do spraw związanych z wykonywaniem atrakcyjnego, ale też bardzo stresogennego zawodu. Coraz częściej rozsądek nakazuje nie przyjmować wszystkich propozycji. Obiecuję sobie, że po trasie 50-lecia będę uważniej podchodziła do kalendarza. Żeby te proporcje były zdrowsze.

Powiedziała pani, że były w pracy potknięcia. Najgorsze?

Trudny okres mieliśmy po stanie wojennym. Bojkot telewizji, uważaliśmy, że nie wypada występować. Chyba że dla dzie-

stylu komunikacji z widzami, kultury nacieszenie. Jest wspaniale, są pełne sale i wykupione bilety. Ale powiedzmy uczciwie, że te 50 lat to nie była nieustająca euforia...

Poproszę o jakieś mrożące krew w żyłach wspomnienia.

Trasa koncertowa do Niemiec, koniec lat 80. Jeszcze były marki zachodnie – mocno na nie liczyliśmy. Zaproszono nas z programem kolędowym: Halinka Frąckowiak, Zbyszek Wodecki, Włodek i ja. Tuż przed występem dyskretnie wyglądamy na widownię – a tam pięć osób. Po jakimś czasie doszło siedem. Organizator pocieszał: i tak nieźle w porównaniu z tym, co zdarzyło się innej ekipie. Wodecki, Zaucha, Sikorowski i Piasecki mieli przyjechać na dziesięć dni, wzięli konserwy, kabanosy i już sobie ładnie wyliczyli, ile przywiozą marek. I co przyjechali do jakiejś miejscowości – kataklizm. A to sprzęt zepsuty, a to inny problem. Wrócili do Polski, nie zagrawszy ani jednego koncertu. Przypomina mi się też historia z Kanady, tam byliśmy z Włodkiem i Tadeuszem Drozdą. Oprócz Ottawy i Toronto pojechaliśmy na daleką północ. Organizatorka, Polonuska, zapewniała Włodka, że „piano” będzie. Wchodzimy do salki parafialnej, a na scenie popiersie Jana Pawła II. Włodek dyskretnie stwierdził, że soczyste żarty Drozdy na tle tego popiersia to może... niekoniecznie. Udało się je przesunąć. A gdzie fortepian? Wskazano nam elektroniczną zabawkę dla dzieci. Pani Polonuska mówi: „Tu jest pokrętło, jak pan sobie wyciągnie to, będzie perkusja, a jak tamto, będzie piano”. Kiedy

Włodek na próbie zaczął grać wstęp do *Żagla*, umarłam ze śmiechu. Jakość dźwięku – karczemna! Włodek to wykształcony klasycznie pianista, któremu w szkole zapowiedziano, że jeśli stwierdzi cię rozstrojenia instrumentu, ma prawo odmówić grania – gwoili rzetelności artystycznej. Zatem odmówił. Zaczęłam prosić – jedziemy na drugi kraniec świata i mamy nie zagrać? Pal sześć, jak to zabrzmiał, spełniamy misję kontaktu z językiem, z krajem. Artyści w czasie wojny mieli gorzej, bo śpiewali pod gradem kul. Wreszcie użyłam argumentu: jesteśmy na takim odludziu, że nikt się nie pozna. I co? W przerwie podchodzi pani: „Też jestem absolwentką akademii muzycznej, jak ja panu współczuję grania na tym sprzeczcie!”.

Ale misja kontaktu z krajem spełniona.

Gdy byliśmy w Australii – Fronczewski, Pietrzak, Korcz i ja – bardzo nas hołubiono, artyści z Polski bywali tam raz w roku. Najpierw tygodniowa aklimatyzacja na Gold Coast, czyli byczenie się na plaży, potem koncerty. Emigracja solidarnościowa witała nas tłumnie. W Sydney Opera House, która mieści prawie trzy tysiące osób, organizatorowi było żal, że nie ma już miejsc, więc posadził publiczność na scenie. Włodek do tej pory się ze mnie śmieje. Bo sukienka – z bawełnianego tiulu farbowanego w herbacie – była prześwietlająca. Kiedy publiczność siedziała z przodu, światła padały tak, że nie było widać niczego zdrożnego – najwyżej muzycy mieli uciechę. Ale tu publiczność znalazła się też za moimi plecami. Myślałam nie o tym, jak zaśpiewać, ale jak ustawić nogi, żeby nie pokazać wszystkich „wdzięków”.

W podróży ludzie się żywiąją. Kiedy z okazji wydania książki o was rozmawialiśmy dla TS, pan Włodek mówił: „Alka w samochodzie ze trzy razy opowiedziała historię życia, a ja chyba osiem”. Czy można uznać, że on zna panią najlepiej?

Włodek tak twierdzi. Ale nie opowiedziałam mu całego życia. On chyba swojego też nie. Myślę, że więcej wiedzą przyjaciółki z czasów studenckich – wtedy gadało się o wszystkim, nie było nic do ukrycia. A najlepiej знаła mnie profesorka śpiewu, moja mentorka Olga Łada. Rosjanka, która przeżyła oblężenie Leningradu. Pracowała w Polskim Radiu i wyróżniała mnie wśród podopiecznych. Co boleśniesz sprawę dzieliłam właśnie z nią. Żeby najbliższych nie martwić.

Ale wie pani, ja raczej nie mam potrzeby opowiadania o najskrytszych uczuciach. Tak, wiem: to wcale nie jest dobre.

„EKSCENTRYCZNĄ BYĆ KOBIETĄ...”

...przyjaciółki niech nie milkną – śpiewa w piosence. Ale o Alicji można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest ekscentryczna. Ubiera się klasycznie. Żadnego „pół kilo biżuterii”, jak w tym utworze, tylko dwa pierścionki, które mają wartość sentymentalną. Fryzura nie zmienia się od lat (gdy kiedyś rozprostowała włosy do programu, spotkana na ulicy kobieta powiedziała: „owszem, nowocześnie pani wyglądała i młodziej, ale niech już pani tej peruki nie zakłada”). Na widownię działa jak balsam, co najlepiej

ujął Korcz: „Jak Alicja pojawia się na scenie, nagle wszystko się zgadza: ludzie po koncertach mówią, że są szczęśliwi, przez półtorej godziny byli w innym świecie, uciekli od tego, co ich bolało”.



Czy miewa pani krótki lont?

Czy potrafię być zła? Taaaak! Na Włodka. Ale tak w życiu chyba nie umiem robić przykrości. Siostra kiedyś mówiła mi: masz za grube nogi do tych białych pończoch. Ja nie byłabym w stanie komukolwiek powiedzieć czegoś podobnego. Ale akurat uważam, że to moja dobra cecha. Jednak o swoje umiem zawalczyć. Przykład? Nagranie koncertu kołędowego, jeszcze za życia Zbyszka Wodeckiego, z którym miałam zaśpiewać duet na finał. Szykujemy się do występu, a tu słyszy-

my, że prowadzący żegna publiczność – to znaczy, że będziemy śpiewać, a na ekranie pojawią się napisy końcowe. Za protestowałam. Oburzyłam się w imieniu Zbyszka i swoim. Reżyser zmienił plan.

Ekstrawagancje Alicji? Słodkie grzeszki? Coś niezdrowego?

Kulinarnie jestem okropnie nudna. Bo monotematyczna – gdy wracam do domu, marzę o... misce sałaty. Rukola, radicchio z dobrą oliwą, czosnkiem, cytryną. Taki ze mnie królik. Zawsze w lodówce muszę mieć śledzie. Jestem śledziowo-sałatowo-tatarowa. Co roku gramy kołedy i kiedy na początku zimy mamy próbę wznowieniową, serwuję śledzika i pieczone ziemniaczki. Na przyjęcia od lat robię swoją specjalitę – sałatkę z paluszków krabowych, awokado i grejpfruta. Lubię mieć gości w domu, lubię przygotowania do przyjęcia, chociaż zdążam w ostatniej chwili. Albo nie zdążam. A kiedy

mam kilka dni wolnego, funduję sobie dni szlafrokowe. Po koncertowych emocjach potrzebuję wyciszenia.

Sprawia sobie pani nagrody? Jakiś pierścionek z diamentem?

Diament to nie. Ale ładny kostium na scenę czy masaż – owszem. Nie kupuję rzeczy, które mają nieprzyzwoite ceny. Ale nie muszę sobie odmawiać czegoś, co jest ładne i się przyda. Dziś mamy przeładowane domy. Dlatego podoba mi się idea minimalizowania, jak radzi w książce ta francuska autorka (Dominique Loreau – red.). Ostatnio przetrzebiłam szafy, moje dziewczyny, najbliższe fanki, wzięły trochę ubrań. Zawsze lepiej komuś coś dać – póki możemy wręczyć osobiście, a nie ktoś potem będzie rozdawał to, co po nas zostanie.

Czy Alicja Majewska bywa rozdrażniona, nieprzysiadalna?

Kiedy mam dni słabości, a takie trafiają się jesienią i wiosną, czasami biorę zastrzyki wzmacniające. W te dni człapię i trzymam się ściany. I jak ktoś wtedy zadzwoni, nie będę kłamać, że czuję się fantastycznie. Ale ogólnie nie narzekam. Mnie mało życie dokopywało. A już w zawodzie jestem szczęściarą. Codziennie o tym pamiętam. Jak mówił Zbyszek Wodecki: trzeba zmówić paciorek do Bozi w podzięcie, że nam „popyliło”, czyli się udało. Mamy wiele okazji do radości.

JESTEM STRASZLIWĄ DYGRESISTKĄ. ZBYSZEK WODECKI ZAWSZE WOŁAŁ: ALA, DO PUENTY!

Bo TO jest. TO – w sensie, że ludzie przychodzą na koncerty, że chcą nas słuchać. Niebagatelna sprawa: w tym wieku (Alicja ma 76 lat, Włodzimierz Korcz 81 – red.) pracujemy i zarabiamy. Nie musimy oszczędzać na sprawach zdrowotnych – doceniamy to. Nie mamy wygórowanych potrzeb, ale świadomość, że stać nas na godne życie, jest krzepiąca. Tylko jedna myśl jak drzazga. Że perspektywa coraz krótsza. I tego mi żal (*Alicja uśmiecha się*). Cieszę się, że nam tak dobrze idzie. Ale ile jeszcze? Owszem, jest cudnie, bo jestem zdrowa, samowystarczalna. Ale wołałabym być młodsza i żeby to jeszcze dłużej potrwało...

Chyba każda czytelniczka odnajdzie się w tej refleksji. W ogóle z kim nie rozmawiam o pani, to się uśmiecha. Znajoma powiedziała, że całymi rodzinami kupili bilety na wasz koncert w maju. Nawet kuzynka, której mąż się w pani podkochiwał. Oj, na pewno znajdzie się ktoś, kto mnie nie lubi. I kiedyś bym się tym przejmowała. Zwłaszcza na początku mojej przygody ze śpiewaniem, kiedy brakowało mi pewności siebie. Gdybym z moimi cechami osobowościowymi teraz startowała w zawodzie, za 50 lat nie byłoby żadnego jubileuszu, bo nikt by nie wiedział, że istnieje. Dzisiaj młodzi ludzie akcentują pewność siebie. Ale odrobina niepewności na estradzie budzi sympatię, może dlatego udało mi się przetrwać te pierwsze trudne lata. Wie pani, kiedy oglądałam swoje zdjęcia i programy sprzed

lat, widzę całkiem ładną dziewczynę. A ja się nigdy tak nie postrzegałam. Przez lata wywiady mnie stresowały. Czy okażę się interesującą rozmówczynią? I co w ogóle mogę rzec ciekawego? Dziś patrzę na siebie z większą wyrozumiałością. Ale przed niedawnym wywiadem u Mariusza Szczygła byłam spięta – wcześniej gościli tam Jerzy Stuhr, Tomasz Raczek, Manuela Gretkowska. Przyjaciółka uspokoiła mnie: ważne, by przed kamerą nie udawać kogoś, kim się nie jest, być sobą. To nawet chyba nawiązuje do recenzji, którą po pierwszej płycie napisał znany wówczas krytyk Andrzej „Ibis” Wróblewski. „Za mało dynamiczna, za mało dramatyczna, ale dobrze wróży to, że jest sobą”. No więc jestem, jaka jestem. I albo ktoś to kupuje, albo nie. Jestem dygresistką. Straszliwą. Nie stawiam przecinków, mówię yy – yyyy, zmieniam wątki – Zbyszek Wodecki zawsze wołał: Ala, do puenty! No i cecha, która mnie najbardziej rozwała: wieczne wątpliwości. Trudne dla mnie samej.

Wiele osób z takimi rozdrapami szuka pomocy u psychologa.

Nigdy o tym nie myślałam. Raz tylko zostałam pacjentką psychiatry, kiedy rozstaliśmy się z mężem i byłam w strasznym dole. Koleżanka zaprowadziła mnie do pani doktor. Już sam fakt, że musiałam o bólączkach opowiadać obcej osobie, był

straszny. Przepisane antydepresanty jeszcze bardziej mnie rozwały, chodziłam z nosem przy podłodze. Ale paradoksalnie, kiedy je odstawiłam, poczułam nową energię. Poszłam do butiku, kupiłam piękny sweter. Zaraz potem leciałam samolotem i jakiś młody człowiek się do mnie umizgiwał. Stałam na nogi. Ponownie musiałam sięgnąć po antydepresanty, gdy zmarł Zbyszek Wodecki. Słońce świeciło, niebo było niebieskie – widziałam to, ale nie czułam. Po miesiącu zaczęły działać: był kamień i nie ma kamienia. Uważam, że ludzie powinni sobie w takich sytuacjach pomagać. Po co się męczyć?

Przez całą rozmowę przewija mi się myśl, że ma pani tylko pozytywny „elektorat”. To najlepsza nagroda dla artysty?

Jesteśmy postrzegani przez pryzmat tego, jakimi się wydajemy, śpiewając napisane dla nas piosenki. Teksty moich są najczęściej pogodne albo przynajmniej dające nadzieję. Być może to sprawia, że ludzie się uśmiechają. Lubię te moje piosenki dlatego, że pisali je nietuzinkowi twórcy. Wyrażają to, co sama bym napisała, gdybym nie wiedziała, że są tacy, którzy robią to lepiej. Przez lata nie doceniałam tego, czym może być dla ludzi kontakt z dobrą muzyką, z pięknym tekstem. Myślałam: przecież to tylko piosenka. Od niedawna dopuszczam do siebie jeszcze inną myśl – nieważne, jak ja oceniam to, co słyszymy w radiu czy na estradzie. Jeśli komuś daje to radość, to wspólnie. Jesteśmy różni i bardzo dobrze. ■